

Politologia jako dyscyplina naukowa świadoma swoich postaw (stronniczy przyczynek do debaty z czterema uwagami)

Ogólnopolski Kongres Politologiczny¹ to spotkanie, na którym z pewnością winien być podjęty namysł nad przedmiotem politologii. Winien być podjęty namysł uwzględniający jednak także stan współczesnych debat toczonej tak w naukach humanistycznych, jak i w naukach społecznych. Pomijając istotną sprawę, do której z tych dziedzin nauki ma należeć politologia jako dyscyplina naukowa, ograniczę się do kilku uwag, zgodnie z tytułem wystąpienia przygotowawszy przyczynek (i to stronniczy) do debaty, a nie rozbudowane wystąpienie.

Zacznę od wyznania: nie jestem z wykształcenia politologiem, lecz prawnikiem i filozofem. Jako prawnik mam nieco wykoślawiony ogląd spraw politycznych, wciąż bowiem kieruję spojrzenie na uwarunkowania normatywne aktywności politycznej, na kontekst, jaki wyznaczają one dla działalności piastunów organów władzy publicznej i rozmaitych aktorów społecznych, dla gier toczonej między nimi, ich wzajemnych relacji itd. Mam świadomość, że kontekst ten jest ważny i dla piastunów organów, i dla aktorów społecznych; wiem, że badają go prawnicy, zwracający jednak uwagę głównie na efekt działalności rozmaitych organów władzy publicznej, a nawet niekiedy tzw. suwerena. Spoglądając z tej perspektywy mniemam raczej niż wiem, że proces decyzyjny, poprzedzający orzeczenia ich woli, winien być przedmiotem namysłu tych, którzy pozostają poza dyscypliną, jaką stanowią nauki prawne, w szczególności, a może nade wszystko tych, którzy uprawiają politologię. Oni mogą dopełniać aktywność badawczą prawników, specjalizować się w obszarach podlegających regulacjom prawnym, a zwłaszcza śledzić przebieg procedur legislacyjnych. Ich analiza, podejmowana przez politologów wspólnie z informatykami, może mieć nie tylko aspekt poznawczy, ale także praktyczny.

Tej pierwszej uwadze, wskazującej na zaniedbywany jeszcze obszar badań, który winien interesować politologów, niech towarzyszy uwaga druga: politolodzy – bardziej, niż odpowiadaniem na pytania przedstawicieli rozmaitych mediów, nakierowujących często na zagadnienia plotkarskie raczej niż merytorycznie istotne dla istnienia, bezpieczeństwa, mówiąc najogólniej: dobra państwa lub/i organizacji, do których należy – mogą podjąć namysł nad ogólnym kierunkiem politycznym ujawniającym się w rozstrzygnięciach organów władz publicznych. Wiedza o tym, czy rozstrzygnięcia te mają walor liberalny czy socjalistyczny, ma niewielkie znaczenie praktyczne, choć pozwala obywatelom wyraźniej dostrzec kierunek obierany przez decydentów w jego kraju; co równie ważne, pozwala także studentom politologii śledzić, na ile konsekwentne (by nie rzec: dogmatyczne) jest działanie rządzących odwołujących się przecież zwykle do jakichś stanowisk identyfikowanych w historii myśli

¹ Tekst artykułu powstał na bazie referatu wygłoszonego na II Ogólnopolskim Kongresie Politologicznym organizowanym w dniach 19–21 września 2012 r. w Poznaniu.

politycznej, choćby myśli najnowszej. By wskazywane teraz pole badawcze mogło być penetrowane dogłębnie przez politologów, potrzebne jest ustalenie, co znaczy dziś słowo „liberalizm” i słowo „socjalizm”, jaki sens nadają mu nie badacze, lecz ci, którzy mają się za liberałów lub socjalistów. Jak wiemy, ustalenia takie wcale nie są łatwe. W ostatnim zdaniu skrywa się zagadnienie niezwykle istotne: na ile możliwe jest dla badacza przedostanie się do sensu nadawanego słowu przez polityka? Na ile kieruje się on własnymi znaczeniami, które – ewentualnie – usiłuje uzgodnić ze znanymi badanemu politykowi?

Pomijam problem potrzeby prowadzenia przez politologów badań nad porządkiem instytucjonalnym, porządkiem prawnym (choć tym właśnie zajmują się prawnicy), nad systemami politycznymi i systemami partyjnymi, pomijam badania nad historią polityczną (które zbliżają z kolei politologów do historyków, jak socjologia polityki zbliża ich do socjologów, a psychologia polityki – traktowana najmniej ufnie – do psychologów). Jako filozofa z drugiego wykształcenia interesuje mnie bowiem inny problem, stawiany w latach 50. XX w., zatem przed z górą półwieczem przez wybitnych politologów w rodzaju Lasletta. Pisałem już o tym kiedyś wraz z Panią dr Pietrzyk-Reeves we wprowadzeniu do wyboru tekstów ze współczesnej filozofii polityki, zwracając uwagę na krytyki tzw. naukowej nauki o polityce (jak nieco złośliwie nazywał ją Leo Strauss) uprawianej z ograniczonej perspektywy pozytywistycznej, ograniczonej, bo wymagającej namysłu jedynie nad zdaniami opisującymi fakty zmysłowo postrzegane, podobnego do podejmowanego przez przyrodznawców. Idzie o to, czy politolog – by uprawiać taką „naukową” naukę o polityce – musi się ograniczać do głoszenia opinii o faktach i poprzestawać na uogólnieniach gwoli wskazania normatywnych kryteriów pozwalających wartościować działania polityczne, bo tylko wówczas nie wykroczy poza dziedzinę opisywaną przy pomocy zdań podlegających probierzowi prawdy? Czy, gdy tego nie czyni, gdy szuka czegoś innego lub gdzie indziej, traci on walor badacza, który uprawia „naukową” naukę o polityce, ograniczającą się do opisywania przy pomocy słów rzeczy, faktów i zjawisk zmysłowo uchwytanych? Można mniemać, że zadanie np. filozofa, różne dziś od wskazywanego w czasach antycznych, ma się ograniczać do określania, co można wypowiedzieć, a czego nie, do wytyczania granic języka, do uprawiania jego krytyki, krytyki języka stosowanego również w „naukowej” nauce o polityce. Gdy przekracza te granice i próbuje formułować pytania i odpowiedzi dotyczące „klasycznych” czy „tradycyjnych” zagadnień metafizycznych, epistemicznych i etycznych albo „klasycznych” czy „tradycyjnych” zagadnień rozważanych w „teoretycznym” i „praktycznym” aspekcie polityki jako dziedziny poruszanej już przez antycznych Greków, to przestaje być uznawany przez politologów za uprawiającego „naukową” refleksję? Czy podobnie jak problemy nieśmiertelności duszy i istnienia Boga, zagadnienia polityczne także mają zniknąć z jego refleksji jako wykraczające poza – odzwierciedlaną w języku – strukturę uchwytaną w postrzeżeniach zmysłowych? Gdyby przyjąć tezę Wittgensteina: *nie mówić nic poza tym, co da się powiedzieć, czyli poza zdaniami nauk przyrodniczych* (6.53), a zapewne zdania nauk społecznych i nauk humanistycznych są różne od zdań nauk przyrodniczych, to czy nie można byłoby ich wypowiadać zgodnie z inną tezą tegoż autora, iż o czym *nie można mówić, o tym trzeba milczeć* (6.54)? Nakaz ten jednak dotyczyłby nie tylko filozofa sięgającego po zagadnienia „klasyczne” czy „tradycyjne”, ale także politologa. Być może jednak w nakaz ten wsłuchują się liczni badacze uprawiający nauki humanistyczne i nauki społeczne, wymagając od siebie i od innych milczenia, niewypowiadania zdań, które różniłyby się od „zdań nauk przyrodniczych”, albo upodabniania zdań własnych do zdań wypowiedzianych w „naukach przyrodniczych” właśnie. Konsekwencja wsłuchiwania się w ten nakaz, a zwłaszcza jego – często bezkrytycznego – respektowania jest bardzo daleko idąca, bo wiąże się ona z potrzebą ujmowania pól badawczych uprawiających nauki humani-

styczne i społeczne na podobieństwo ujmowania swych pól badawczych przez przyrodoznawców. Można mówić sensownie o tym, jaki jest świat, który faktycznie istnieje, jak czynią przyrodoznawcy poznając fakty w nim znajduwane i poprzestając na zdaniach, które da się wyrazić sensownie w języku. Jednak przyrodoznawcy wsłuchujący się w nakaz Wittgensteina uchylają w ten sposób istotny wszak spór o istnienie świata, poprzestając na orzekaniu o tym tylko, jaki on jest; ukazują i odsłaniają strukturę świata, ale jej nie wyrażają, bo niepodobna tego czynić zasadnie². Czy – postępując podobnie – należy tylko ukazywać i odsłaniać, choć i to z zastrzeżeniami, strukturę „faktów politycznych”, ale niepodobna szucać ich wyjaśnień ani formułować żadnych kryteriów ich wartościowania?

Jedna z głównych tez „wczesnego Wittgensteina” głosiła, że sądy etyczne, a także sądy o zagadnieniach znajdujących tradycyjnie w obrębie filozofii polityki, nie dostarczają informacji mających walor poznawczy i nie poddają się badaniu z punktu widzenia prawdziwości-falszywości. Skoro bowiem nazwy odnoszą się bezpośrednio do świata rzeczy, bo rzeczy są ich znaczeniami, to – jako bazy jedynki znaczeń – nie odnoszą się do żadnych treści moralnych ani nawet faktów czy zjawisk politycznych. Sądy moralne i sądy filozofów polityki nie zawierają przecież nazw rzeczywiście istniejących „obiektów” lub „rzeczy” i jako takie nie mogą mieć poznawczego charakteru. Dokonana w latach 50. XX w. deprecjacja „tradycyjnej” filozofii moralnej i filozofii polityki opierała się więc na obecnych w *Traktacie* Wittgensteina tezach, iż język ma jeden cel, tj. stwierdzanie faktów; iż składa się ze zdań zawierających nazwy czerpiące znaczenie z przedmiotów, które reprezentują; iż prawdziwość zdań polega na tym, że trafnie opisują one fakty; iż, wreszcie, istnieje stała, prosta i określona struktura języka, którą można wyrazić za pomocą formuł logiki matematycznej.

W późniejszym okresie twórczości Wittgenstein porzucił jednak wspomniane tezy, istotne dla ukształtowania się stanowiska krytycznego dla wszelkiej filozofii, w tym dla filozofii polityki, zachęcającego do zredukowania orzeczeń do tego tylko, co dzieje się w faktycznie istniejącej „rzeczywistości”, w tym „rzeczywistości politycznej”, a co uchwytyją zmysły. W *Dociekaniach filozoficznych* porównał on już słowa do narzędzi i stwierdził, że ich użycie może być tak różne, jak użycie narzędzi. Rzeczywistość przestała już być określona, a język nie odtwarzał tylko jej struktury rzeczowej. Okazało się, że człowiek posługuje się słowami w różnych celach i różne nadaje im sensy używając ich w odmiennych kontekstach. Każde użycie języka stało się „ukontekstowane”, było bowiem częścią pewnej aktywności, „formą życia”, dlatego słowa należało teraz stale odnosić do kontekstu wyznaczanego przez układ zachowań: każde użycie słowa stanowiło element jakiejś „gry językowej”, całości złożonej z języka i czynności, w które jest on wpleciony (*Dociekania*, 7). A że istnieje niezliczona ilość gier językowych, jak istnieje niezliczona ilość sposobów użycia słów, to nie mogła już istnieć jednak „istota” języka, która stanowić by miała podłoże wielości zjawisk językowych, ani nie mogło istnieć żadne „podłoże” rzeczowe, z którego można by się uczyć niezmiennego znaczenia słów lub pojęć. W końcu, przestawał istnieć nawet jeden sposób, w jaki słowa miały uzyskiwać znaczenia, bo wiele słów nie nazywało niczego; język przestał być jedną grą, stawał się raczej rodziną gier, których reguły, cele i sposoby, w jakie się je uprawia, okazały się być nieskończenie różne. By wykryć znaczenie słowa należało teraz poznać jego użycie w konkretnej grze językowej, gdyż znaczenie to wyznaczał w istocie tylko sposób użycia słowa, zawsze ukontekstowanego, zawsze używanego w kontekście innych słów i zmiennych okoliczności.

² E. Gilson, T. Langan, A. A. Maurer, *Historia filozofii współczesnej od Hegla do czasów najnowszych*, t. B. Chwedeńczuk, S. Zalewski, Warszawa 1979, s. 506–509.

Okazało się, że pozytywistyczna tęsknota za jednoznacznością słów poszczególnych, wpisana w rozmyślania „wczesnego Wittgensteina” i licznych jego naśladowców, także wielu współczesnych nam politologów, została przez „późnego Wittgensteina” (ale nie przez jego licznych naśladowców) porzucona. Przecież w późniejszym ujęciu fakty same, tak istotne jako przedmioty lub obiekty nazw u „wczesnego Wittgensteina” zatraciły jednoznaczność i wpisane zostały w gry językowe („gry faktualne”), w każdym przypadku ukontekstwowione. Jakże ma to znaczenie dla uczestników Kongresu Politologii, dla zgromadzonych na sali politologów? Okazuje się, że istotne, choć politolodzy stronią od podobnych analiz, odnoszą się często niechętnie do rozważań wyprowadzających ich poza paradygmat problematyczny, problematyzowany przez samego jego twórcę. W połowie lat 90. XX w. pisze np. poznański autor, Tadeusz Buksiński, w związku z naszymi spostrzeżeniami, zwracając uwagę na deprecjację przez polityków treści szacownego a problematycznego paradygmatu: *Politycy świadomie bądź nieświadomie biorą pod uwagę i uwypuklają pewne fakty, a inne pomijają. Fakty stają się w dzisiejszych debatach politycznych nie czymś danym obiektywnie, ale środkami wykorzystywanymi dla przeforsowania własnego punktu widzenia lub stanami rzeczy forsonowanymi politycznie. Przy czym powodem odmiennych interpretacji jest nie tyle odmiennosc interesów czy dóbr, co odmiennosc percepcji rzeczywistości, a więc czynniki poznawcze. W tym sensie polityka wkracza w dziedzinę semantyki, dotyczy bowiem definicji zjawisk, a od definicji zależą konstatacje faktów, ich oceny i decyzje dotyczące podjęcia określonego typu działań, w następstwie czego to, co faktyczne, staje się zależne w warstwie znaczeniowej od jego wcześniejszego „językowego osadzenia” w jakiegoś rodzaju grze językowej. Niemal każde działanie staje się polityczne, a każde formowanie poglądu ma znaczenie polityczne. Na przykład w sytuacji kryzysu ekonomicznego politycy lewicowi będą preferować doraźne poprawy sytuacji najuboższych warstw z uwagi na ich stan zdrowia i ubóstwo materialne, zaś prawicowi – obniżenie podatków z uwagi na złe warunki gospodarowania. Jest to konflikt opierający się na różnym rozumieniu faktów i ich roli dla funkcjonowania gospodarki i całego społeczeństwa, rozumieniu, o którego treści decyduje „ukontekstwowiony” wszak język. Strony sporu nie muszą nawet różnić się wartościami, celami długoterminowymi ani interesami. Podstawowe różnice dotyczą tego, że przywiązują odmiennie znaczenie i różne wagi do tych samych faktów ze względu na całościowe postawy wobec rzeczywistości, jak się wydaje określające lub narzucające reguły danej, ideologicznej (?) gry językowej danej grupy „politycznych graczy”³. Walka polityczna staje się walką o uznanie własnego punktu widzenia, własnych definicji problemów i sposobów ich rozwiązań, własnych interpretacji faktów, walką o przyjęcie reguł jednej z gier językowych, tej, która ma dominować⁴.*

Stwierdzenia Buksińskiego warto rozważać, zwłaszcza uwzględniając perspektywę wskazaną w naszej, dawno już wypowiedzianej, uwadze drugiej: rozpoznanie tendencji, już to liberalnej, już to socjalistycznej, ułatwia rozpoznawanie zachowań i kierunku przyjmowanego przez prawodawcę, teraz wiemy już, że uprawiającego grę językową, której reguły pragnie narzucić ten, kto skrywa się w „prawodawcy”, jakiś „polityczny aktor” lub grupa takich „aktorów” godząca się prowadzić przeciwko innym „językową grę”. Zauważmy jednak, i niech to będzie uwaga trzecia wypowiedziana w tym tekście, że George Edward Moore, którego Raymond Plant uznał ongiś za jednego ze sprawców deprecjacji filozofii polityki po II wojnie światowej, uznawał dobro za pozanaturalną, niedefiniowalną własność; zarazem zarzucał on

³ T. Buksiński, *Racjonalność współdziałań. Szkice z filozofii polityki*, Poznań 1996, s. 272–273.

⁴ *Ibidem*, s. 278–279.

wszystkim tym, którzy widzą w nim jakiś fakt (cechę naturalną w rodzaju przyjemności danego podmiotu moralnego albo rzeczywistości metafizycznej, jak Absolut lub wola osobowego Boga), błąd naturalistyczny, przekonanie, że wyraz „dobry” może posiadać znaczenie w związku z jakimiś jakościami empirycznymi (naturalnymi). Jeśli jednak zważymy, że błąd ten zarzucał on nie tylko myślicielom antycznym (także hedonistom) i chrześcijańskim, ale także nowożytnym utylitarystom w rodzaju Jeremy'ego Benthama czy Johna Stuarta Milla, utożsamiającym dobro z tym, co pożądane i co można wykryć ustalając, czego ludzie faktycznie pragną, mając to za dobro właśnie, to dostrzeżemy, że jest to też błąd tych, którzy wielokrotnie próbują identyfikować takie indywidualne przeświadczenia jako swoje „dobra” i w oparciu o „dobra własne a zidentyfikowane” rozmyślać o właściwych treściach norm nie tylko moralnych, ale i prawnych.

Złożenie tendencji pozytywistycznych i krytycznego ustalenia Moore'a miało, w ujęciu Planta, doprowadzić do tezy o niemożliwości formułowania wszelkiej filozofii polityki, która miałaby walor normatywny. Niepodobna było zasadnie formułować normatywnej filozofii, opartej już to na jakiejś koncepcji natury ludzkiej, już to na jakiejś ingerencji Boga w świecie, już to nawet na poczęciach jednostkowych. Jeśli uwzględnimy uwagi o „grach językowych”, będziemy mogli dodać, że zanikają nawet „twarde sensy” wszystkich podstawowych pojęć stosowanych w języku używanym przez twórców doktryn lub programów politycznych i przez samych polityków. Nawet przeciwieństwo przekonanie Milla, wyrażone w eseju *Utylitaryzm*, iż cele życia muszą być oparte na aktualnych faktach ludzkich potrzeb, jest błędne, bo opiera się na „twardych przesłankach” dotyczących jakichś cech, które miałyby być powszechne (choć nie wspólne). Już nie tylko „metafizyczne” przesłanki filozofii polityki jako systemu normatywnego ustalającego ponadsubiektywne, a nawet ponadintersubiektywne, stosowalne wszędzie i zawsze kryteria działania politycznego, już nie tylko filozofie polityki oparte na jakiejś koncepcji „dobra ponadjednostkowego”, ale także filozofie polityki odwołujące się do tego, co partykularne, co jako „faktyczne” jest zmysłowo uchwytnie, stały się wysoce problematyczne⁵. Na gruncie tak pojmowanej nauki o polityce, choćby „naukowej” nauki o polity-

⁵ Zauważmy, że zwolennicy takiego podejścia, w nawiązaniu do rozważań Davida Hume'a, podnosili, że niepodobna z twierdzeń o faktach wywodzić tez o charakterze normatywnym, z sądu o tym, co lub jak jest niepodobna orzekać o tym, co lub jak być powinno, bo powinności nie można wywodzić z bytu. Za C. L. Stevensonem zwracali też uwagę, że z tych samych faktycznych przeświadczeń można wywodzić różne wnioski moralne, a nawet budowali koncepcje moralne spełniające wymagania określone w metaetycznej koncepcji zwanej emotywizmem, będącej ubocznym produktem pozytywizmu lub empiryzmu logicznego, bliskiej nie tylko Stevensonowi, ale także twórcom logicznego pozytywizmu, m.in. Ayerowi i Carnapowi. Emotywizm, szczególnie popularny dzisiaj w rozważaniach prowadzonych przez niezorientowanych w przywoływanych dyskusjach badaczy m.in. współczesnej myśli politycznej, nie jest doktryną etyczną, nie odpowiada bowiem na pytanie, jaką wartość moralną mają poszczególne ludzkie czyny, np. czy są one sprawiedliwe, czy też nie, stanowi natomiast osobliwą koncepcję filozoficzną określającą, jak należy odpowiadać na pytania o dobro i zło, tj. jakie znaczenie mają terminy etyczne. Z punktu widzenia emotywistów wypowiedzi normatywne pozbawione są znaczenia poznawczego i sensu empirycznego, służąc jedynie wzbudzaniu emocji; etyczne wypowiedzi normatywne wyrażały jedynie stany umysłu nie będące stanami poznawczymi (przekonaniami, oczekiwaniami), lecz stanowią tylko dyspozycje lub postawy emocjonalne, takimi jak posiadanie określonego życzenia, preferencji, poczucia winy lub aprobaty; owe dyspozycje lub postawy, jako nie odnoszone do relacji prawdziwościowej, nie mogły już być sprzeczne z innymi dyspozycjami lub postawami (co stanowiło jedynie właściwość zdań), ale mogły wchodzić z nimi w konflikt. Skoro tego rodzaju dyspozycje lub postawy stanowiły konieczny składnik przekonań etycznych lub gdy przekonania zupełnie sprzadzały się do nich, to wypowiedź typu „to jest dobre” traktowana być musiała jako wyrażalna w kategoriach „ja to aprobuję” lub „mnie się to podoba”. „Zasady moralne” zyskują tym samym charakter subiektywny, wyrażają bowiem nieodmiennie czyjeś partykularne preferencje warunkujące je. Emotywizm głosi nadto, że wypowiedzi moralne charakteryzują się mocą imperatywną, mającą siłę sprawczą, i zmierną do ukształtowania postaw ludzi, do których są kierowane: choć nie mają one treści empirycznej (nie są zdaniem wyrażającymi przekonania o świecie), mogą być jedynie oznakami

ce, możliwe się stają badania dotyczące jedynie zachowań w polu empirycznie uchwytym, ale zachowań zróżnicowanych, o różnych sensach mimo ich podobieństwa, o niemożliwej do ustalenia treści „dobra” itd. Dla uprawiających je zdaje się być usprawiedliwioną jedynie „politologia behawioralna” lub „instytucjonalna”, obie bowiem zajmują się tylko zróżnicowanymi faktami dziejącymi się aktualnie lub składającymi się na procesy długoterminowe. Dla nich politologia istotnie jest tylko „nauką empiryczną”, nauką eksplanacyjną, w żadnym razie nie normatywną, wyjaśniającą jedynie, w żadnym razie nie kierującą, „moralnie neutralną” i nieuwzględniającą żadnej „twardej koncepcji dobra” (ani właściwej utilitarystom, ani np. platonikom). Jediną przestrzenią dla dziedziny, którą można byłoby nazwać filozofią polityki, pozostaje dla nich ta, do której należy rozjaśnianie pojęć i koncepcji używanych w naukach o polityce, co – jak już widzieliśmy – jest co najmniej postulatem kontrowersyjnym⁶.

Jeśli dodamy do tego tezę o niewspółmierności teorii naukowych, która uniemożliwia ocenę i racjonalny wybór jednej z nich jako najlepszej, skłaniającą np. Karla R. Poppera do wniosku, iż wiedza naukowa jest irracjonalnym przekonaniem, a nawet pozostaje jedynie „kwestią wiary” (każda racjonalna, krytyczna dyskusja musi się opierać na dogmatyzmie, bo staje się możliwa pod warunkiem bezkrytycznej, a więc dogmatycznej akceptacji określonych zasad teoretycznych), to dostrzeżemy, że teorie są *jak gdyby odmiennymi punktami widzenia, ideologiami, między którymi nie zakłócona komunikacja i pełny przekład jednej na drugą nie jest możliwy. Nie można więc już mówić o żadnym postępie naukowym, lecz jedynie co najwyżej o zmianach teorii, które dokonują się wskutek nie racjonalnej dyskusji i argumentacji, ale wskutek działania czynników pozateoretycznych, np. psychologicznych czy socjo-*

przekonań moralnych żywionych przez jednostki i nie podlegają testowi prawdziwości. Jako takie nie mogą stać się przedmiotem procesu przekonywania przy użyciu metod dedukcyjnej lub indukcyjnej, jak dzieje się w nauce: *racja etyczna nie implikuje w sensie logicznym sądu moralnego ani go nie potwierdza w sensie logiki indukcyjnej, lecz posiada ona pewną siłę, zależną nie tylko od swojej treści, lecz także – w przygodny i zmienny sposób – od postaw i dyspozycji jednostki, do której jest kierowana; jednostka ta może ją przyjąć lub nie, same bowiem racje etyczne – w przeciwieństwie do racji logicznych – nie mają charakteru koniecznego i kategorycznego* (A. Chmielewski, *Niewspółmierność, nieprzekładalność, konflikt. Relatywizm we współczesnej filozofii analitycznej*, Wrocław 1997, s. 264). Wszystkie elementy emotywnym jako koncepcji metaetycznej można odnaleźć w tych stanowiskach filozoficzno-prawnych, które nazywa się pozytywistycznymi, i w tych sposobach ujmowania zdarzeń dokonujących się w świecie politycznym, które są właściwe „naukowym” naukom o polityce. I emotywnym bowiem, i pozytywizmem prawniczym, i – wreszcie – „naukowe” nauki o polityce traktują tylko o faktach związanych z tym, co partykularne.

⁶ Pozytywizm, głosi Plant, sankcjonował dwa tylko obszary badań politologicznych: behawioralną naukę o polityce (opierającą się na metodologicznym indywidualizmie, który – jak widzimy – nie jest zdolny prowadzić ku orzeczeniu kognitywnym) i logiczną analizę wszelkich koncepcji politycznych (tylko ten drugi obszar miał charakter teoretyczny, pierwszy bowiem posiadał walor czysto empiryczny) (*Modern Political Thought*, Oxford 1991, passim). Plant zauważał nadto, że wszelka filozofia polityki (teoria polityki o normatywnych roszczeniach) miała z punktu widzenia pozytywistów walor niekognitywny, skoro także jej zainteresowania budzić miały niekognitywne preferencje i uczucia powodujące uczestnikami świata politycznego, skoro także ona miała z konieczności, jak wyznaczające „wzorzec naukowości” nauki przyrodnicze, pozostawać moralnie neutralna. Zarazem eksponował on z jednej strony wielość prac powstałych po 1970 r., których autorzy – jak John Rawls i Ronald Dworkin, Robert Nozick i Michael Walzer, Alasdair MacIntyre i Alan Gewirth – przekraczają ów pozytywistyczny redukcjonizm, z drugiej zaś strony upadek pozytywizmu, którego zwolennicy nie radzą sobie z należyтым zdefiniowaniem tak fundamentalnej zasady, jak weryfikacja z punktu widzenia kolejnych danych doświadczenia przeświadczeń dotychczasowych, i zmuszeni są wprowadzać inną zasadę – falsyfikacji, uwzględniającą już istotną rolę twórczej wyobraźni w nauce jako tę, która pozwala formułować hipotezy sprawdzane (falsyfikowane) empirycznie. W świecie po-pozytywistycznym, zdominowanym – co może brzmieć paradoksalnie – przez spór „fundacjonalistów” z komunitarystami, mają również znaczenie krytyki „późnego Wittgensteina”, u którego znajduje się przesłanki „nowego typu” filozofii polityki (zob. np. J. W. Danford, *Wittgenstein and Political Philosophy. A Reexamination of the Foundations of Social Science*, Chicago 1978, passim).

logicznych. Tym samym staje pod znakiem zapytania racjonalność nauki, czyli tej sfery aktywności poznawczej człowieka, która uchodzi za wcielenie ludzkiej racjonalności⁷. Już nie tylko politycy uprawiają więc własne a różnicowane „gry językowe”, ale także w pewnym zakresie czynią to uczeni, także ci, którzy ograniczają się do badania ich gier. Jeśli dodamy do tego tezę kolejnego znanego filozofa reflektującego nad stanem nauk społecznych, Petera Wincha, iż *stosunki społeczne są wyrazem poglądów dotyczących rzeczywistości*⁸, mając świadomość problematyczności istnienia rzeczywistości, a zwłaszcza możliwości jej adekwatnego poznawania, to pytanie stawiane przez filozofów polityki, tak krytycznie wciąż oglądanych, pytanie także Durkheima o możliwość uzasadnienia „sposobów zgrupowania współdziałających z sobą jednostek” choćby z uwzględnieniem ich subiektywnych wszak „wyobrażeń”, staje się pytaniem ważnym także dla tych politologów, którzy nie zajmują się wprost refleksją nad podstawami własnych badań, lecz prowadzą je jakby w oderwaniu od takiej refleksji, być może zresztą prowadząc je merytorycznie rzetelnie i warsztatowo poprawnie. Niech dla nich sformułowana zostanie uwaga czwarta i ostatnia: gdy po raz drugi odwołamy się do Wincha i unaocznimy problemy wynikające z przyjmowania dziś niemal bezkrytycznie kontraktualnych uzasadnień dla istnienia władzy publicznej, natrafimy na problem ogólniejszy niż by się wydawało na pierwszy rzut oka, mianowicie na problem „przejścia” od tego, co jednostkowe, subiektywne, choćby przez podmiot „wyobrażane”, do tego, co wspólne jednostkom, choćby tym czymś miała być właśnie „władza publiczna”. Za wspomnianym już Humem, Winch wskazywał ongiś, że błędne jest *mówienie o władzy państwowej jako zależnej od „przyzwolenia” rządzących*, jako że sprawia ono wrażenie, jakby *pojęcie władzy państwowej było w pewien sposób tworzone przez to przyzwolenie*⁹. Można rzec w związku z tym, że nawet samo pojęcie nie jest przez przyzwolenie „tworzone”, ale można też rzec, że to, co pojęcie to nazywa także tworzonym przez przyzwolenie nie jest, a nawet, że przyzwolenie to poprzedza, że jest wobec niego pierwsze, że to przyzwolenie odnosi się do czegoś już istniejącego i że – jako takie – nie może być traktowane jako wobec niego, tego już istniejącego, pierwsze.

Zadanie związane z ukazywaniem takich choćby problemów także powinno być podejmowane przez tych, którzy zajmują się politologią. Bez ich ukazania, unaocznienia, wyjawienia, jak bez wyjawienia całego szeregu innych problemów teoretycznych związanych choćby tylko z zagadnieniem kontraktualizmu, niepodobna uprawiać politologii jako nauki. Bo poprzestawanie na prostych opisach tego, co jawi się faktycznie, spycha politologię w pobliże

⁷ A. Chmielewski, *Niewspółmierność, nieprzekładalność, konflikt...*, op. cit., s. 221–222.

⁸ P. Winch, *Idea nauki o społeczeństwie i jej związki z filozofią*, tł. B. Chwedeńczuk, Warszawa 1995, s. 33.

⁹ P. Winch, *Władza i racjonalność*, w: P. Winch, *Etyka a działanie: wybór pism*, Warszawa 1990, s. 126. Ku przestrodze licznych analityków kontraktualizmu przypominę, że w przywoływanym eseju Winch próbuje przekonywać czytelnika, iż *prawomocność rządu nie rodzi się ex nihilo za sprawą samego aktu woli obywatela*, także, iż *społeczna waga powodów prawomocności nie zależy od arbitralnej woli danej jednostki* (ibidem, s. 122). To przecież kolejny przyczynek do dyskusji zarysowanej w niniejszym tekście, a dotyczącej kłopotliwości skrajnie indywidualistycznego podejścia metodologicznego do badań prowadzonych nie tylko przez politologów, ale – ogólniej – przez wielu badaczy zajmujących się naukami społecznymi. Rzecz zresztą związana jest, być może, z dominacją tego, co osmielał się nazwać „światopoglądem liberalnym”, którego dominacja jest przecież uznawana za problematyczną (nawet) dla „cywilizacji zachodniej” np. przez zwolennika neoromańskiej czy atlantyckiej tradycji republikańskiej w rodzaju Quentina Skinnera. Na marginesie: o Wittgensteinie, uutilitarystach, neokantystach, komunitarystach, a nawet o Winchu może czytelnik przeczytać w błyskotliwym, a dawnym już eseju Richarda Bellamy’ego pod znaczącym tytułem *The demise and rise of political theory*, pomieszczonym w pracy zbiorowej pod jego redakcją zatytułowanej *Theories and Concepts of Politics. An introduction* (Manchester–New York 1993, s. 1–15).

wiedzy bliskiej wiedzy potocznej, a w każdym razie rodzi niebezpieczeństwo jej nieokreśloności.

Bibliografia

- Bellamy R., *The demise and rise of political theory, w: Theories and Concepts of Politics. An introduction*, red. R. Bellamy, Manchester University Press, Manchester–New York 1993.
- Buksiński T., *Racjonalność współdziałań. Szkice z filozofii polityki*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 1996.
- Chmielewski A., *Niewspółmierność, nieprzekładalność, konflikt. Relatywizm we współczesnej filozofii analitycznej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1997.
- Danford J. W., *Wittgenstein and Political Philosophy. A Reexamination of the Foundations of Social Science*, University of Chicago Press, Chicago 1978.
- Gilson E., Langan T., Maurer A. A., *Historia filozofii współczesnej od Hegla do czasów najnowszych*, tł. B. Chwedeńczuk, S. Zalewski, PAX, Warszawa 1979.
- Modern Political Thought*, Oxford 1991.
- Theories and Concepts of Politics. An introduction*, red. R. Bellamy, Manchester University Press, Manchester–New York 1993.
- Winch P., *Etyka a działanie wybór pism*, red. T. Szawiel, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1990.
- Winch P., *Idea nauki o społeczeństwie i jej związki z filozofią*, tł. B. Chwedeńczuk, Oficyna Naukowa, Warszawa 1995.
- Winch P., *Władza i racjonalność*, w: P. Winch, *Etyka a działanie: wybór pism*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1990.

Political science as an academic discipline aware of its foundations (a biased contribution to the debate containing four remarks)

Summary

The text presents remarks on four issues political scientists often take into consideration when reflecting on the borders of their research. The first issue concerns the call to scrutinize the course of legislative procedures, the second one – the need to recognize and note various traditions of political thought in the platforms of political parties and the statements uttered by politicians; the third – the fundamental question of whether political topics are grasped in the structure of sensual perceptions reflected in language; and, finally, the disputable postulate that the philosophy of politics, approached as an element of reflection on political science, clarifies exclusively the notions and concepts applied in the political sciences. These considerations pose problems rather than solve them, and they are completed by a warning that political science should not be developed towards common knowledge, and it should not become increasingly indeterminate and blurred.